

An impressionist painting depicting a busy market scene. In the foreground, two women in elaborate 19th-century dresses and hats stand near a stall. One woman wears a vibrant red dress and a black hat, holding a bouquet. The other wears a light-colored, patterned blouse and a long blue skirt. To the right, another woman in a dark top and light skirt stands near a stall overflowing with colorful flowers. A horse is visible in the background under a red awning. The background is filled with more people and stalls, creating a sense of a bustling marketplace. The overall style is characteristic of Impressionism, with visible brushstrokes and a focus on light and color.

ZOFIA
◆ KOSSAK ◆

DZIEDZICTWO



DZIEDZICTWO



IWPAK

IW PAX

© Copyright by Anna Bugnon-Rosset
Anna Magdalena Fenby Taylor
Wojciech Patrick Szatkowski
Ewa Maria McSperrin
Marek Stanisław Szatkowski

© Copyright for the Polish edition
by Instytut Wydawniczy Pax
Warszawa 2014

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

Projekt okładki
Studio Karandasz

Redakcja techniczna
Adam Wieczorek

Korekta
Zespół

ISBN 978-83-211-2059-1 (PDF)

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 2022
00-519 Warszawa, ul. Wspólna 25
e-mail: iwpax@civitaschristiana.pl
księgarnia internetowa: www.iwpax.pl

Wydanie III. Ark. druk. 50,0/16.
Fotoskład: DARTEXT, Warszawa
Druk i oprawa: Drukarnia im. A. Półtawskiego
25-701 Kielce, ul. Krakowska 62

ZOFIA
KOSSAK

DZIEDZICTWO

CZĘŚĆ I/II



INSTYTUT WYDAWNICZY PAX
WARSZAWA

Część I

IWPAX

IW PAX

Rozdział I

Dom nieobecnego

Był początek października 1848 roku. Sadownik Dawidek opuścił ogród, załadowawszy na wóz swoje narzędzia, drabiny, rozebraną budę, puste kosze, żonę Ruchlę, pięcioro kędzierzawych dzieci i chudego złego psa. Gdy stary kamerdyner Józef oznajmił tę wiadomość dziedziczce, pani Aniela narzuciła na siebie sznelkowy szal i poszła przejść się po sadzie, w którym nie była od paru miesięcy.

Absencji tej nie powodowała niechęć do sadownika. Owszem, Żyd był sposobny – protegowany Lejby, generalnego dostawcy i faktora dworu. Co przyszłoby z sadu, gdyby rokrocznie Dawidek nie brał go w arendę? Jedyłą przyczyną, dla której dziedziczka omijała sad, kiedy Żyd w nim gospodarzył, była jej wrodzona nieśmiałość. Chudy zły pies ujadł na nią zawzięcie i bała się go, choć był uwiązany do drzewa. Brudne dzieciaki zbiegały się do niej. Kiedyś nieopatrznie dała im błękitny papier z resztkami słodkiego miazgu, stanowiący opakowanie głowy cukrowej, i od tego czasu nie mogła się pozbyć ich milczącej asysty. Za dziećmi ciągnęła Ruchla, wiecznie narzekająca, pełna współczucia dla dziedziczki, że taka jeszcze młoda, taka przystojna, a pana zabrali... Na koniec pojawiał się sam Dawidek i trąc oczy łzawiące wśród czerwonych powiek ubolewał nad swoją dolą nieszczęsną. Na co jemu było brać ten sad? Z przyjaźni to zrobił, żeby pani dziedziczce dogodzić, i wyszło jemu na stratę... Wielką stratę... Ten sad, czy to jest sad? Same stare drzewa. Kwitnąć kwitł, a potem

wszystko obleciało. On, Dawidek, dołożył ze swego, bardzo dużo dołożył. Może by jasnie dziedziczka dorzuciła Dawidkowi choć korczyk pszenicy...

W tym momencie podchodził ogrodnik, przyglądający się z dala rozmowie, i nazywał Dawidka złodziejem.

– Niech pani dziedziczka nie wierzy! Cygani jucha. Tyle się pieniędzy nabrał za jabłka w tym roku, co w żadnym.

– Auf meine mues! – wykrzykiwał Dawid oburzony, a pani Aniela odchodziła spiesznie, nie czując się na siłach rozsądzać, kto ma słuszość. Dlatego, chociaż lubiła ten sad, przez nieboszczyka teścia zakładany przed laty, nie była tutaj od paru miesięcy.

Teraz, spokojna, że nikt do niej nie podejdzie, chodziła po uliczkach, obsadzonych krzakami porzeczek i agrestu, z bólem konstatując szkody, jakie co roku zostawiał sadownik w postaci połamanych gałęzi, a nawet młodych drzewek, i trapiąca ją melancholia wzrastała.

Z Kurnatowskich Aniela Gałczyńska była drobna, szczupła; jasne włosy wysuwały się spod stroiku obszytego wdowią szlarką. Ciemna długa suknia zgarniała z szelestem opadłe liście, zalegające już ścieżkę. Twarz kobiety, przedwcześnie na wzór tych liści przywiedła, zachowała ślady dawniejszej urody. Musiała być kiedyś śliczna i zaprawdę nie stworzona do losu, jaki stał się jej udziałem.

W swym utrapieniu nie była odosobniona. Społeczny status pani Anieli zdarzał się często w Polsce, niezależnie od stanowiska i zamożności rodziny. Była żoną zesłańca. Okrutna dola, gorsza od wdowieństwa. Śmierć towarzysza przecina życie na dwoje, pokrywa serce i myśl żałobą, ale ta żałoba mija. Po dwóch, trzech latach rodzina i krewni nalegają, by wdowa zdjęła czarne szaty. Dość już uczciła pamięć nieboszczyka. Niech teraz myśli o nowym małżeństwie, niech szuka zacnego opiekuna dla dzieci i majątku. I rozgrzeszona tymi radami kobieta rozpoczyna życie na nowo. Lecz być wdową i nie wdową, czekać dozgonnie na tego, co nigdy nie wróci, oczekiwać wiadomości, które nigdy

nie nadchodzą, modlić się nie wiedząc, czy słać do Boga pacierze za żywego, czy za umarłego, podejmować obowiązki mężowskie, biorąc na barki ciężar gospodarstwa, interesów – to niewymownie bolesne.

Zdarzały się kobiety, których to nie przerażało. Odziane na wpół po męsku, w jałowiczych butach, w kozuszkach ściągniętym w pasie rzemieniem, ujeżdżały konno po polach, pilnując osobiście poczynań ekonoma czy pisarza. Same odmierzały ordynarię służbie i wydzielały fernalom obrok dla koni. Nieraz się zdarzało, że zawiadywane przez nie gospodarstwa stały lepiej niż za rządów nieobecnego właściciela. I choć mężczyźni wyśmiewali pod wąsem owe hic mulier-baby, wzbudzały one powszechny szacunek.

Niestety, pani Aniela nie miała w sobie ni źdźbła podobieństwa do herod-baby. Przeciwnie. Łagodna i lękliwa jak jagnię, nie znosiła wyzwisk, łajañ, prawie na równi ze strzałami, których się panicznie bała. Wołała zamykać oczy na niewątpliwe nadużycia gorzelanego i ekonoma niż występować do walki o swoje. Gdyby nie zacni sąsiedzi, przyjaciele Gałczyńskiego, samorzutnie opiekujący się majątkiem, Siaszyce byłyby dawno stopniały. Pani Aniela zdawała sobie z tego sprawę i czuła się winna wobec dzieci. Nie dziw więc, że duszę jej zalewała melancholia.

Dzieci... To słowo mile brzmi. Pozwala domyślać się synów, którzy niebawem zajmą miejsce ojca. Ponownie trzeba powiedzieć: niestety! Aniela Gałczyńska była matką sześciu córek. Sześciu: Róża, Zofia, Cecylia, Aniela, Jadwiga, Józefa. Sześć.

Przed zesłaniem męża nie przejmowała się tą obfitością. Zawsze pogodny i niefrasobliwy Woś zapewniał, że chętnie ujrzy choćby dwanaście dziewczynek. Kiedyś Niemojowski, sąsiad i facecjonista, ujrzawszy na ganku gromadkę maleńkich pańienek, wykrzyknął do gospodarza: „Bój się Boga! I ty myślisz to wszystko chować?” Woś śmiał się do łez, a spoważniawszy zapewnił, że Siaszyce podołają wianom. Lecz teraz Wosia nie było.

Pchając stopą zwiędłe liście, pani Aniela wspominała znane francuskie powiedzenie, według którego matka jedy-naczki jest dumna; matka dwóch córek – uprzejma; matka trzech córek – niespokojna; matka czterech córek tamuje ruch na ulicach; matka pięciu córek jest zdolna do zbrodni.

„...Ale ja mam ich sześć – myślała nieboga. – Więcej niż kalamburzyści przewidzieli. Mój casus jest bez rejestru...”.

Wesołe parsknięcie dolatujące z wysoka przerwało te smutne rozmyśły. Pani Aniela cofnęła się o krok przerażo-na, spojrzała w górę i załamała ręce.

– Sophie! – jęknęła. – Sophie! Co ty wyrabiasz?

– Już schodzę, proszę mamci! – odpowiedziano z drze-wa. Po chwili przed oczami zgorzonej dziedziczki zawirowa-ły długie cienkie nogi, para stóp klasnęła sprężyście o zie-mię i druga z kolei panna Gałczyńska stanęła na ścieżce, przewyższając matkę o głowę.

– Sophie! – biadała ta ostatnia. – Zabijesz się kiedy!

– Proszę mamci, niech się mamcia nie boi.

– Co by panna Apolonia powiedziała?

– Oj, na pewno dostałaby spazmów, ale się nie dowie. Ona teraz męczy Cesię, a ja już lekcję wydałam.

Wbrew tej pewności od dworu rozległo się gniewne wołanie:

– Sophie! Sophie! Gdzie jesteś?

– Oho, Poliniusz się złości! – stwierdził podłotek, kieru-jąc się bez pośpiechu ku domowi.

Aniela została sama i znów myślała o córkach. Zofia była przedmiotem dodatkowej troski. Żywość tej dziewczyny, jej hardość i samowola, jej zapowiadająca się uroda, wróżyły wiele kłopotów. Inaczej z najstarszą, Rozalką, po-ciechą matki, babki i wychowawczyni. To dziewczątko za-wsze taktowne, ślicznie ułożone, było wzorem, słusznie stawianym za przykład „kozakowi”, czyli Zofii. Z kolei krze-piąca była myśl o trzeciej córce. Wprawdzie Cesia przenosi-ła nad wszystko czytanie powieści i kochała psy. Gdy wy-szła z domu, wszystkie kundły zbiegały się ku niej. Nawet

stary Sułtan, niegdyś ulubieniec pana domu, teraz zreumatyzowany, mrukliwy, drzemiący całe dnie na swym legowisku w oborze – dla Cesi robił wyjątek i towarzyszył jej na przechadzce. Jamnik Jagulek, kaśliwy i zły, nie odstępował jej na krok. Przeraziwym wyciem, ilekroć drzwi odgrodziły go od Cesi, wywalczył sobie przywilej znajdowania się w salonie, w jadalni, w sypialni – wszędzie, gdzie była jego pani. Mimo to z Cesią nie powinno być kłopotu. Przyszły epuzer otrzyma wprawdzie kiepską gospodynię, ale anioła dobroci. Czwartą z rzędu, Anielka, tęga, biała i różowa dziewczyna, była... jakby tu powiedzieć... Panna Apolonia określała ją wyszukanie: „une innocente”, a służące prostacko: „przygłupia”. Umysł Anielki zatrzymał się na poziomie kilkuletniego dziecka. Powiadano, że w czasie jej niemowlęstwa, gdy Wojciech Gałczyński z żoną pojechali na wojaż, mamka małej, chcąc zapewnić sobie spokojne noce, poila niemowlę odwarem z makówek – lecz dowodów na to nie było. Każda przyzwoita rodzina w razie nienormalności jednego z jej członków szukała przyczyny z zewnątrz. A to przodek brał udział w zabójstwie świętego Stanisława i kara za zbrodnie odezwała się po wiekach, a to Cyganka przekleła...

Anielka nie czuła swojego upośledzenia. Z zapalem hodowała drób i gołębie. Wszystko, czego nie rozumiała, przyjmowała wybuchami śmiechu i klaskaniem w dłonie. Z trudem nauczono ją sylabizować i kreślić koślawe litery. Na tym jednak zakończyła się nauka.

Co do dziesięcioletniej Jadwisi i ośmioletniej Józi – były to jeszcze dzieci, pozostające pod opieką bońci Klary. Lecz Aniela wiedziała z doświadczenia, że proces przekształcania się dzieci w dorastające panienki jest niewiarygodnie szybki. Tylko patrzeć, gdy i one będą zagadnieniem. Ach, gdyby Woś był!

Przed trzema laty mówiono wiele o amnestii. Do Siaszyc przyjechał isprawnik poinformować dziedziczkę o możliwości powrotu zesłańca. Był uprzejmy i dziesięciorublową asygnatę przyjął łaskawie, jako rzecz należną. Zapytany, od

czego zwolnienie „pomieszczyka” zależy, objaśnił, że od zachowania. Buntownicy, hardzi, nieposłuszni z amnestii nie skorzystają.

Po tej wizycie Aniela żyła przez pół roku jak w gorączce. Zrywała się na nogi za lada turkotem, szczekanie psów przyprawiało ją o palpitację. Daremne oczekiwanie, bo mąż nie powrócił i przestano go wyglądać.

Październikowy zmierzch osnuwał ziemię, kiedy dziewczinka zawróciła ku dworowi. Na ganku spotkał ją służący Józef meldując, że podwieczorek na stole. Pani starsza kazała podać w saloniku, bo tam cieplej niż w jadalni. Pani starsza i panna nauczycielka czekają na panią dziedziczkę.

Aniela przyśpieszyła kroku. Na prawo z jadalni dolatywały wesole głosy dziewczynek przerywane bezsilnymi „Voyons, voyons” bońci. Młoda czereda jadała podwieczorek osobno, na czym nie traciła, gdyż Sznajdzia, gospodyni, podrzucała ulubienicom nadprogramowe przysmaki. Właściwe miano gospodyni było Frau Schneider, lecz rzadko go używano. Piastowała swe obowiązki w Siaszycach od dnia ślubu Anieli z Wojciechem. Uczciwa, pracowita, oddana, dzieliła każdą radość czy zmartwienie domu. Mimo osiemnastu lat spędzonych tutaj poprawna polska wymowa sprawiała jej wiele trudności, a starsze dziewczynki rade wspominały czasy, kiedy Sznajdzia dziwiła się polskiej mowie, że taka zabawna. Na przykład: „sznyk” – znaczy „Schnee ist da”, zaś „sznyk, sznyk” – „Schnee ist weg”. Znakomite jej ciasta słynęły w całym Kaliskiem. Darmo jednak panie sąsiadki dopraszały się recepty. Sznajdzia zazdrośnie kryła swe sekrety.

Wielki salon o jesionowych meblach, krytych czarną włosiennicą, o ścianach ozdobionych sztychami z Napoleonem oraz szeregiem kolorowych litografii, przedstawiających dzieje Pawła i Wirginii, był nie używany i nie opalany od wyjazdu pana domu. W przylegającym doń małym saloniku, do którego pani Aniela weszła zawstydzona opóźnieniem, stały meble mahoniowe z liram i w oparciu krzesel.

Nad kanapą wisiał portret Anieli w stroju balowym, dobrego pędzla. Zalotny uśmiech, spadziste ramiona, wysoka kofiurowa z piór, loków, sztywnej kokardy i złotego sznura. Ta samaż to kobieta? Aniela pierwsza gotowa była wątpić.

– Jesteś, kochanko – powitała ją ciotka Melania. – Byłyśmy już niespokojne. Niech no Józef przysunie parawan. Od salonu ciągnie jak ze dworu. Ach, te kurandery!

Ciotka Melania była zażywną staruszką łatwego usposobienia. Życie jej wypełniały kulinarne narady ze Sznajdzą, oczekiwanie na mariaże wnuczek, stawianie pasjansów, a we wtorki i piątki – kabały.

Siedząca obok niej panna Apolonia Koszutska milczeniem wyrażała dezaprobatę dla niepunktualności lękliwej pracodawczyni. Wyprostowana i sztywna, usta miała wąskie, rysy twarzy surowe, jak przystało osobie, w nieobecności gospodarza rządzącej tym domem kobiet.

Panna Koszutska, familiantka dość zamożna, znacznie starsza od Anieli, nie była postacią przeciętną. Dziewczęce lata spędziła w kole arystokracji francuskiej mieszkającej w Polsce. Ci emigranci w drugim pokoleniu nie odstąpili od rojalistycznych przekonań swych ojców i dziadów. Nienawidzili porewolucyjnej rzeczywistości francuskiej i gardzili nią. Znakomity kaznodzieja, abbé Dumier, pouczał młodą panienkę, że ład uświęcony przez Boga, utrwalany wiekami chwalebnej przeszłości, zniszczyły potwory wspomagane przez obalamucony plebs. Zły przykład jest zaraźliwy, ogarnie po kolei wszystkie państwa, jeżeli w porę nie postawi się tamy zarazie. W pojęciu abbé Dumier tamą miała być religia. W opinii świeckich kierowników duchowych młodej Apolonii religia była nawykiem zbawiennym, godnym pielęgnacji, lecz tylko ze względu na gmin. Dla warstw oświeconych najdoskonalszym środkiem, konserwującym stary ład, było staranne wychowanie. Formy zewnętrzne z zadziwiającą siłą działają na wewnętrzne dyspozycje umysłu. Bon ton, savoir vivre, tradycja rycerska – to najskuteczniejsza zbroja przed szkodliwym nowinkarstwem.

Apolonia Koszutska przejęła powyższe zasady odpowiadające jej wrodzonej pedanterii. Nie miała jeszcze osiemnastu lat, gdy spotkało ją nieszczęście: narzeczony, pan Tytus Baliński, poległ pod Lipskiem. Apolonia przywdziała żałobę i ślubowała zmarłemu wierność aż do śmierci.

Tej przysięgi dotrzymała. Wprawdzie w trzydzieści lat później nie pamiętała, jak Tytus Baliński wyglądał, niemniej wystarczyło wymienić to imię, by w oczach starej panny zabłyśły zdyscyplinowane, automatyczne łzy.

Niegdyś, gdy pomiędzy nią i światem wzrósł mur dobrowolnie wzniesiony, a normalnego w takiej sytuacji powołania zakonnego brakło – młoda, inteligentna dziewczyna jąła rozmyślać, co uczynić z życiem.

Na równi z panią Klementyną z Tańskich Hoffmanową Apolonia doceniała zapoznaną rolę społeczną kobiety. Mężczyzna – jej zdaniem – miał mniejsze znaczenie, wiadomo bowiem, że w Polsce szlachcic długo nie pożyje. Był zostawił pamięć mężnego patrioty, to i dosyć. Natomiast niewiasta, wychowująca przyszłe pokolenia... Apolonia poczuła wokację wychowawczą. Wspomniana pedanteria, skłonności despotyczne, przemyślany program – podsycały te pragnienia. Marzyła o utworzeniu instytutu dla pańien, lecz warunki polityczne przekreślały to marzenie. Musiała się zadowalać wpajaniem wykwintnych manier dorastającym herytierom i na tym polu osiągnęła pewną sławę, lecz to jej nie wystarczało. Wiadomość o zesłaniu Wojciecha Gałczyńskiego i jego sześciu córkach, zostających pod opieką nieporadnej matki, poczytała za wiadomość szczęśliwą. Wprawdzie dziewczynki były jeszcze małe, lecz nigdy nie jest za wcześnie rozpocząć edukację. Panna Koszutska zaofiarowała się sama jako wychowawczyni, co Aniela Gałczyńska przyjęła za zrządzenie Opatrzności, zdejmujące z niej ciężar nad siły. Apolonia Koszutska zamieszkała na stałe w Siaszycach. Wprędce stała się wyrocznią nie tylko dla dzieci, ich matki i babci, lecz dla całej okolicy.

Sumienna i odpowiedzialna, podjęte obowiązki spełniała wzorowo. Uczyła starsze dziewczynki literatury francuskiej i historii Francji (w myśl własnych poglądów naświatlanej), nieco literatury polskiej, historii Polski według książeczki księżnej Czartoryskiej „Pielgrzym z Dobromilu” oraz „Śpiewów historycznych” Niemcewicza, ortografii obu języków, stylizacji listów, lektury, deklamacji, śpiewu, muzyki, ułożenia. Naukę łączyła z nieubłaganą tresurą. Tresura winna była wejść w krew, przeniknąć świadomość i utworzyć ową zbroję strzegącą przed złymi prądami.

Kawę wypito w milczeniu. Niezadowolenie nauczycielki ciążyło obu paniom. Aniela powitała z ulgą wkroczenie dziewczynek dziękujących mamci, babci i pannie Apolonii za podwieczorek. Mistrzynie ogarnęła chłodnym spojrzeniem swe wychowanki i zawyrokowała:

– Będziemy teraz ćwiczyły entrée.

Niepoprawna Zofia manifestacyjnie jęknęła, Cesia posmutniała. Liczyła, że do kolacji będzie mogła czytać cudowną, przepiękną powieść „Hrabia Monte Christo”. Tylko zawsze przykładna Rozalka zapewniła grzecznie:

– Doskonale, proszę pani.

– Mademoiselle – dysponowała Apolonia – proszę zabrać Anielkę i dzieci, będą przeszkadzać. Cécile! Wyrzuć tego psa.

– On będzie okropnie wył...

– Daj go mnie – pośpieszyła z pomocą matka. – Wezmę go na kolana.

Ciotka Melania z zaciekawieniem podniosła do oczu lorgnon czekając na przedstawienie. W pannie Apolonii obudził się duch wodzowski. Ustawiała swe karne szeregi. Entrée – wkroczenie młodej panny na salę pełną obcych ludzi – traktowała jako sprawę poważną i wymagającą studiów. Jakże często – mawiała – zalety umysłu i powierzchowności mijają niespotrzeżone z powodu chybionego entrée!

Według obowiązujących kanonów panna, gotująca się do wejścia na salę, winna była tuż przed progiem przy-

stanać na moment i w ciągu ćwierci minuty wykonać szereg precyzyjnych ruchów w ustalonej kolejności. A więc: uszczypnąć końce uszu, by poróżnowiały, klapnąć się tęgo w policzki, żeby wywołać rumieniec, wzniesć ręce do góry i potrząsnąć dłońmi, by krew odpłynęła z palców, złożyć ręce pod piersiami „w małdrzyk”, na koniec szepnąć wyraźnie „pom” – i zatrzymując wargi w pozycji wymaganej przez to słowo, wpłynąć jak łabędź na salę, głowę mając wzniesioną, a oczy skromnie spuszczone. Potem następowały dygi przed każdą starszą osobą, głębsze lub pobieżne w zależności od hierarchii. Całość wymagała nie lada wprawy i umiejętności.

Najpoprawniej wykonywała ćwiczenia Rozalka – najpiękniej Zofia (jeśli jej się chciało); Cesi przeszkadzał Jagulek, którego Aniela puściła, gdyż warczał na nią (warczał na wszystko, co nie było Cesią), a wznoszenie rąk, plaskanie w policzki brał jako zapowiedź zabawy.

Po wielokrotnych powtórkach ćwiczono sortie, też ważne, ale łatwiejsze. Poprawne sortie wymagało opuszczenia sali tym samym skromnym, a pełnym godności krokiem; ujmując klamkę panna obracała się z wdzięcznym uśmiechem ku pozostałym, wykonując głęboki dyg pod adresem pani domu.

Teraz nastąpiła deklamacja. Zofia, stojąc pośrodku pokoju, recytowała z przejęciem:

Od dworaków opuszczona, Helena w stroju niedbałym...

W połowie pieśni wszedł Józef, anonsując kolację.

– Oddal Goworka! – żądała patetycznie deklamująca, lecz starsze panie powstały.

– Ach, ta Polińcia – wzdychała Cesia w ucho starszej siostry – chyba umyślnie kazała nam ćwiczyć, żebym nie czytała „Hrabiego Monte Christo”!

Po wieczery młoda trzódka, wykonawszy sprawnie ceremoniał całowania rąk i życzeń dobrej nocy, wycofała się

do dwóch sypialni pod opieką mademoiselle. W saloniku pani Melania wróciła do pasjansa, pani Aniela do kibicowania, panna Apolonia czytała ostatnią powieść pana Sue, znacząc ołówkiem ustępy nieodpowiednie dla panien. Jeżeli rzeczonych ustępów wypadało zbyt wiele, chowała książkę pod klucz. Jeżeli nie przносиły jednej trzeciej tekstu, wystrzygała zaznaczone miejsca nożyczkami. Ponieważ czyniła tak nie z chęci dokuczenia wychowankom, lecz z uwagi na ich dobro, zakładała wycięte strony karteczką informującą krótko o przebiegu akcji. Czasem pani Aniela wypominała nieśmiało niszczenie książek, na co wyrocznia odpowiadała stanowczo, że należyta edukacja jest ważniejsza niżli książki. Dziewczęta mają prawo pożądać stawy duchowej, musi być ona jednak starannie przesiana.

Józef wszedł objaśnić knoty świec, na których narosły grzyby. Ciotka Melania ziewając zgrnęła karty. Zły dzień dzisiaj. Pasjans nie wyszedł ani razu.

– Przy ćwiczeniu entrée zamiast „pom” można też powiedzieć „ciup”. Na jedno wychodzi.

– Pani hrabina de La Tour Boussac zalecała mówić „pom”.

– Francuzka, skąd mogłaby znać polskie słowo? Po francusku „pom”, a po polsku „ciup”. Przecie mówi się często: „buzia w ciup”.

– Dziewczynki przywykły do „pom”.

– Oczywiście, kochanko, oczywiście. Ja tylko tak sobie powiadam. Bardzo ładnie wypadło entrée. Szczególnie Rozalka... Jakie wrodzone poczucie dystynkcji. Jaki charme...

Apolonia Koszutska przyjmowała pochwały z połowicznym zadowoleniem.

– Rose ładnie się rusza – przyznała – Cécile ujdzie także. Gdybyż jeszcze udało się wyrobić podobnie Sophie...

– Ach, Sophie!

Umilkły wszystkie trzy, jednako zafrasowane przyszłością krnąbrnej dziewczyny. Wyrasta na piękność. Piękna kobieta bardziej niż inne potrzebuje mądrego kierownictwa,

czujnej opieki i przestrogi. Znalazłaby to wszystko wśród pań tu obecnych, cóż jednak począć, skoro Sophie z reguły postępuje odwrotnie, niż ma zalecone.

Pani Melania pierwsza otrząsnęła się z frasunku.

– A propos dziewczynek... Biernacki był dwa razy w ostatnim kwartale, choć to dalekie sąsiedztwo. Nie sądzisz, kochanko, że o Rozalkę mu idzie? Bo powód ostatniej wizyty wyglądał niejasno. Nam powiedział, że chce kupić konia, a Odkiewiczowi, że potrzebuje buhaja...

– Myż młodego Biernackiego nie znamy!

– Stary go przywiezie, bądź spokojna. Wpierw musi sam się rozejrzeć i ewentualną synową zobaczyć. Uważałam, że przy obiedzie przyglądał się uważnie dziewczętom, szczególnie Rozalce...

– Ona jeszcze taka młoda!

– Kochanko, Rose za dwa miesiące kończy szesnaście lat. Nim by przyszło do ślubu, będzie miała siedemnaście. Sama pora do małżeństwa. Wprawdzie zawczasu o tym mówić, bo ani stary się nie deklarował, ani młodego nie znamy, lecz ze strony wieku obiekcji nie zgłaszaj. Myśl raczej, co trzeba robić, by konkury nie zaskoczyły nas ciemnych jak tabaka w rogu...

– Ja nie wiem, ciociu, co trzeba!

– Powinnaś, kochanko, posłać po Lejbę i w cztery oczy, żeby służba nie słyszała, kazać mu się wszystkiego dokumentnie dowiedzieć.

– Czego?!

– Ach, moja biedna Anielko! „Czego”?... Wszystkiego. Naprzód – jaki jest stan fortuny, ile długów, jaką opinię mają starzy u sąsiadów i u kupców, jaką opinię ma młody... Powiedz Lejbie, niech nie pyta, co godne pochwały, ale co jest do zganienia, bo tym, co dobre, sami się chwalić będą.

– Czy on potrafi taką dyskretną rzecz zrobić?

– Kochanko, od czegoż są Żydzi? Zawsze oni to robią. Nie bój się. Biernacki pewnie dobrze spenetrował, zanim drugi raz przyjechał.

– Ach, gdyby Woś tu był! – zawołała udręczona matka. Uznawała słusność ciotki, której zmysł praktyczny był godzien podziwu, lecz zastosowanie się do rady przerastało jej możliwości. Do matki należy przygotowanie wyprawy, wesela... Informacjami powinien zająć się ojciec. Gdybyż Woś tu był...

Rozżaliła się do łez.

– Gdybym miała chociaż portret Wosia – narzekala – gdybym mogła na niego popatrzeć... Podobno są jakieś maszyny, które robią wizerunki osób.

Apolonia zamknęła książkę, zakładając stronicę fidybusem wyjętym z kryształowego wazonu.

– Są – potwierdziła. – Monsieur Daguerre w Paryżu wymyślił taką machinę. Nakrywa ją czarnym sukniem, sam pod sukno wchodzi, coś tam przesuwają, zasuwa... Każde na przeciwko stanąć, nie ruszać się chwilę, ani okiem mrugnąć – potem wychodzi, dziękuje, a po paru dniach oddaje portret jak żywy.

– Jak to?! Bez patrzenia?! Bez malowania?

– Dlaczego czarne sukno? To jakaś diabelska sztuczka! Panna Koszutska uśmiechnęła się z wyższością.

– Widziałam portret arcybiskupa Paryża robiony przez pana Daguerre.

– Ha, skoro sam arcybiskup... Jakże ten portret wyglądał?

– Lica były jakby zamazane, ale koronki u manszetów, łańcuch na piersi – ślicznie odrobione. Ręcznie by tak nie potrafił.

– Gdybym mogła mieć podobny wizerunek Wosia!

– Za mojej młodości chodzili po kraju fizycy, którzy z kolorowego wosku lepili podobizny, nieraz bardzo cudne i utrafione. Najczęściej Francuzi. Ulepiali płaskorzeźbę z profilu albo całą głowę. Jeden taki siedział u mnie więcej niż pół roku. Robił podobiznę trzeciego mojego nieboszczyka męża, pana Konstantego. Och, to był majster! Nazywał się Monsieur Delaux... Może ja już wam o nim opowiadałam?

Niewątpliwie opowiadała wiele razy. Trzy kobiety po długoletnim współżyciu знаły wszystko, cokolwiek każda z nich mogła mieć do opowiedzenia. Niemniej, w braku nowych zdarzeń, słuchały z przyjemnością dawnych, jak chętnie otwiera się znaną książkę, by odczytać po raz setny rozdział umiany na pamięć.

Pani Melania nie czekała odpowiedzi na swe retoryczne pytanie. Tasując machinalnie karty, podjęła narrację:

– Każdego z moich świętej pamięci małżonków czule oplakiwałam, ale Konstantego najwięcej. Młoda jeszcze byłam i trzeci raz wdowa! Z desperacji można było zmysły stracić. Ledwie którego pokochałam, lepiej poznałam, już ci go nie było. Pan Stanisław ubit w insurekcji. Pan Maciej pod Sandomierzem. Na trzeciego upatrzyłam sobie pana Konstantego. Dobry był człowiek, spokojny, wojaczki nie lubił. Domatorstwem się zabawiał... Stanąwszy z nim na ślubnym kobiercu, myślałam: „Wiek przeżyjemy. On nikomu nie wadzi, ja też k’temu nieskora; zgodnie będziemy szli w małżeńskiej obroży...”. Niedługo było tego szczęścia. Dwa miesiące po ślubie znów się wdową obaczyłam! Drzewo tracze ścinali. Jegomość poszedł na pracę popatrzeć... W złym miejscu stanął, wołali na niego, nie pojął, dlaczego krzyczą – drzewo się zwałiło i ducha na miejscu wypuścił. Kiedy go martwego przynieśli, tom tylko mdlała raz za razem, potem zesłałam tak, że nawet na pogrzebie nie byłam.

Pan Konstanty fortunę mi niezłą zostawił, więc chciałam jego znaną pamięć uhonorować, a swoją melancholię czymś rozerwać. Jak raz przyjechał do Kalisza ów monsieur Delaux ze swoimi figurkami. Zamówiłam u niego figurę świętej pamięci pana Konstantego w całej postaci, ale nie taką malutką... Grandeur naturelle. „Konterfekt – mówię mu – mam, resztę dopowiem”. Zdziwił się, ale rad przystał. Dopieroż Żydki zaczęły dla mnie wosk po pasiekach wykupywać, aż się dziekan złościł. „Cóż to – powiada – z racji pani dobrodziejki do drugiej diecezji będę po świecę posy-

łał?” Francuzowi dałam dwie izby w oficynie, dobrze ogrza-
ne, żeby wosk w miękkości utrzymać; w kredensie jadał,
odpasł się, bo chudy przyjechał jak szczapa, w listopadzie
lepić zaczął, a w maju skończył. Zachodziłam patrzeć na
robotę, żeby podobieństwa doglądnać, i co spojrzałam na
ręce świętej pamięci pana Konstantego, na lica, to mnie
płacz porywał i spazmy. Na koniec figura była gotowa,
w surduty, spodnie, halsztuk nieboszczyka odziana. Majster
był Delaux. Twarz zrobił jak żywą. Tylko patrzeć, kiedy
przemówi. Ludzie żegnali się, myśląc, że zjawa. Zdecydowa-
łam ustawić figurę w sypialni na postumencie. Pocięchą
w moim wdowieństwie będzie na niego spoglądać, wiedząc,
że on zawsze zostanie, że nie odejdzie. Zaraz też po mularzy
posłałam, żeby postument stawiali.

...Tymczasem figura leżała w garderobie. Francuza już
zapłaciłam i odjechał. Brzuch mu taki urósł. Krzywdy nie
miał. Niecierpliwie czekałam, kiedy się mularze wyguzdrzą
i posag na miejscu przeznaczonym stanie. Ale nie było
sądzone. Nie stanął, kochanko, nie stanął... Któregoś od-
wieczera przyjechał pan Onufry, świętej pamięci Konstan-
tego krewniak. Ja go wcale nie znałam, bo do legionów
poszedł niedorostkiem, potem ciągle gdzieś wojował, aż
dopiero teraz z naszymi wojskami z Francji wrócił. Po-
słyszawszy o zgonie kuzyna, przyjechał swoją kompasję
wyrazić. Zastał mnie w tych kirach wdowich, siedzącą w par-
ku na ławeczce. Grzeczny był, bywały kawaler. Pocieszał
mnie, opowiadając o swoich wojennych kolejach. Chodzimy
po szpalerach i to ja się od płaczu zanoszę, stratę wspo-
mniawszy, a on się nade mną użala, to z kolei on łzy roni,
a ja go przywołuję, by żałości nie folgował. Tak się wzajem-
nie krzepimy, spacerując, aż widzę, że Jan kamerdyner
szuka mnie po parku. Zła byłam, że kolacji beze mnie nie
potrafią zadysponować. Przecie widzą, że gość jest. Ale nie
o wieczerzę chodziło. Podszedł Jan i do ucha mi szepcze:
„Proszę jaśnie pani, świec nie ma”. Zacukałam się. Świec
nie ma? Przy olejnej lampie gościa sadzać? Przy łójówce?

Nie wypada. To ręką usta zasłaniam i na stronie do Jana powiadam: „Stopcie tam kawałek nieboszczyka pana”. No i stopili, kochanko... Potem już mnie służba wcale nie pytała, tylko topili po trochu. Kiedyś zapytałam, co z figurą, to już jej połowa ubyła. Ale że jak raz wychodziły zapowiedzi moje i pana Onufra, tom się nie zalterowała...

– Cóż bym dała za taką podobiznę świętej pamięci pana Tytusa! – westchnęła Apolonia i nieunikniona łza spłynęła po jej policzku. Anieli zauważyła nieśmiało, że musi już być późno i pora spać. Posłyszawszy odsuwanie foteli, Józef wszedł, by pogasić świece, a z trzymanym w rękę kandelabrem odprowadzić każdą z pań do drzwi jej sypialni.

W pokoju pani Melanii czekała pokojowa Marcysia z gotową szkandełą. W to płaskie pudło miedziane na długiej rączce kładziono żar z pieca i przesuwano nim między pościelą, by chłód z prześcieradeł wypędzić. Czynność należało wykonać dość szybko, by pościeli nie przypalić, lecz na tyle długo, by ją ogrzać. Marcysia robiła to znakomicie i pani Melania ceniła jej sprawność.

– Czy żaru w piecu dość? – dopytywała się już spod pierzyny. – Jeśli cię w nocy zawołam, żebyś nie macała za krzesiwem jak kiedyś...

– Żaru jest dość, proszę starszej pani. Nakryłam popiołem. Ino fidybusa wetknąć, a zapłonie.

– To dobrze, kochanko. Gdzie te fidybusy? Nie rusz, niech tam stoją. A wiesz, że po miastach ludzie wymyślili drewnienka w siarce maczane? Nazywają je siarniki. Gorzej są same, byle potrzebę...

– Byle o krzesiwo potrzebę?

– Gdzie tam. Bez krzesiwa, same.

– Ady nie rozumiem, proszę łaski starszej pani.

– Ja też nie rozumiem, ale tak wymyślili. O byle co potrzebiesz, o podeszwę, o rękaw, o deskę – już się pali jak łuczywo.

– Na deszczu też?

– Na deszczu chyba nie.

– I, i... Nie takie znów mecyje. Hubka, jak wysuszona, też płonie od razu. Żeby one siarniki na deszczu gorzały, to co insze.

– Pewnie. A do tego bardzo niebezpieczne, bo się same zatlić mogą. Opowiadali mi zeszłego roku państwo Potworowscy, że jeden, co te siarniki przy sobie nosił, ręką czegoś po kieszeni trzepnął, a tu mu ze spodni ogień buchnął. Strasznie się poparzył...

– Jezus, Maryjo!

– I otruć się nimi łatwo. To znów pani Wyganowska ze Złotnik mówiła: Dziewczyne chłopiec ladaco rzucił. Z desperacji objadła wierzchy tych siarników i od razu trup...

– Ja bym czegoś takiego do ręki nie wzięła!

– Ja też, kochanko.

– I po co takie pomysły ludziom przychodzą do głowy? Tylko na szkodę?

– Jużci, co nie na korzyść... Podaj mi koronkę i nalej do szklaneczki eliksiru.

– Tej nalewki?

– Co dzień ci mówię, kochanko, że to nie nalewka, tylko eliksir, czyli lekarstwo. Uważaj, nie rozlej... Dobrze. Możesz już iść.

– Dobrej nocy winszuję starszej pani.

– Dobranoc, kochanko.

Służąca wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi. Pani Melania wychyliła napój, zwany przez nią eliksirem, a przez Marcysię nalewką, i poczuła się bardzo dobrze. Przetarte szkandelą łóżko grzało jej kości od zewnątrz, płyn od wewnątrz. Dla starego człowieka jestli rzecz milsza niż ciepło? Jęła przesuwając w palcach koronkę, modłać się kolejno za każdego z czterech zmarłych mężów, za Anielę i jej córki, za nieobecnego Wojciecha, na koniec za siebie. Przez uchylone drzwiczki pieca żar połyskiwał różowo, kładł poświatę na suficie. Patrząc na ruchliwą grę skrzyń myślała między jedną zdrowaśką a drugą o siarnikach, o tajemniczym wynalazku pana Daguerre, robiącym portrety pod czarnym

suknem, o wozach bez koni wymyślonych w Anglii. Jedzie podobno na kołach machina z kominem, buzująca jak samowar, do niej doczepione kocze nadszają z tyłu... Dziwy, dziwy niepojęte... Ostatnią świadomą myślą pani Melania dziękowała Bogu, że te wymysły-przemysły, jak mówi Marcysia, są tak od Siaszyc dalekie.

Pani Aniela traktowała pacierze sumiennie i rygorystycznie. Nie pozwalała sobie odmawiać ich w łóżku i drzemała wsparta na aksamitnym klęczniku, póki nie zbudziło jej zimno. Ta gorliwość nie dziwiła nikogo, leżała bowiem w tradycjach Kurnatowskich z Brudzewa, zawziętych kalwinów. Sprawa tak się przedstawiała, że za panowania króla Zygmunta Augusta ówczesny dziedzic Brudzewa poróżnił się ze swoim proboszczem o dziesięcinę. Obaj byli krewcy; od słowa do słowa Kurnatowski przysiągł na cmentarzu przykościelnym, że noga jego tutaj więcej nie poстане, i na kalwinizm przeszedł z całym domem. Uraza dawno zwietrzała, niemniej tradycja została w sile. Gdyby jej zaniechano, obcy mógłby sądzić, że ma do czynienia z innymi, gorszymi od brudzewskich Kurnatowskimi. I tak szło z ojca na syna i wnuka. Lecz kobiety tego rodzaju były katoliczkami. Gdzież by Kurnatowscy szukali żon protestantek? Któż by im w ostatniej godzinie sprowadzał księdza, by in articulo mortis mogli się z Bogiem pojednać? Nie życzyli sobie również zięciów luteranów. Więc córki były w prawdziwej wierze chowane, podczas gdy mężczyźni śpiewali kalwińskie psalmy. Ta różnowierność rodziła rywalizację, w wyniku której wychowanie religijne pańien Kurnatowskich staranniejsze było niż w innych rodzinach.

I choć sen morzył dziedziczkę na jej klęczniku – bo i ciało było mdłe, i duch niezbyt mocny – modliła się żarliwie, prosząc Boga miłosiernego o powrót Wojciecha, o pomyślne mariaże córek. O siebie już nie miała czasu prosić, bowiem zasypiała.

Panna Apolonia pierwsza zgasła światło w swej sypialni. Pacierzy nie odmawiała, będąc „esprit fort”, chociaż

formy religijne zachowywała przy ludziach starannie. Nie było w tym obłudy, tylko przekonanie o cennym wpływie pobożności na maluczkich. Z właściwym większości niedowiarków brakiem logiki bała się panicznie duchów. Lada szmer w nocy stawiał jej przed oczy straszne powieści o strzygach lub zjawach. Jedynym środkiem na lęk było szybkie zaśnięcie z kołdrą naciągniętą na głowę.

Co do panien Gałczyńskich, wszystkie one: grzeczna Rozalka, niegrzeczna Zosia, miłująca psy i powieści Cesia, przygłupia Anielka, bawiące się jeszcze lalkami Jadwisia i Józia – spały od dawna najszcześniejszym snem młodości. Obchodzący dziedziniec i ogród stróż nocny gwizdał na psy podwórzowe i postukiwał łagą koło ganku, póki ostatnie światła we dworze nie pogasły. Wtedy spokojny udał się do stajni, by tam spać równie smacznie w sianie za drabiną.

IWPAX

Rozdział II

Powrót

Dzień był świętego Andrzeja Apostoła, trzydziesty listopada. Gruda już ścisnęła drogi, śnieżek polatywał. Panna Apolonia cierpiała na silną migrenę i prosiła Szmajdzi, by zamiast rannej kawy zaparzyła dla niej chińskich ziółek, zwanych po polsku herbata, po francusku thé, a po rosyjsku czajem.

– Jawohl – odparła z gotowością gospodyni, lecz wnet przystanęła: – Ten ziółek u pani dziedziczka w komoda. Czy budzić pani dziedziczka?

– Niech Sznajdzia obudzi, proszę. Czuję się bardzo źle...

Sznajdzia wyszła bez sprzeciwu. Pani Melania znad filiżanki kawy spojrziała ze współczuciem na chorą.

– Kochanko – ostrzegła – nie radzę pić thé. To silny środek, na pewno zaszkodzi. Ja po thé miewam zawroty głowy, dreszcze i pieczenie w dołku. Sok malinowy zdrowszy...

Apolonia trzęsła głową przecząco, wpatrzona martwo w jeden punkt. Z przyjemnością posłyszała drobne kroki Anieli. Odziana w szlafroczek z długim trenem pani domu wbiegła do jadalni i otoczyła zboląłą rojem troskliwych pytań, na które mistrzyni odpowiadała męczeńskim uśmiechem. Do jadalni wkroczyły dziewczynki, dygnęły na komendę i stanęły, niepewne, co począć. Chora podniosła opuszczoną głowę. Bystre jej spojrzenie obiegło wychowan-

ki, jak gdyby szukając pośród nich parszywej owcy – znalazła ją, spiorunowało, wróciło. Panna Koszutska powstała z wysiłkiem.

– Pójdę się położyć – szepnęła. – Niech Sznajdzia przyniesie mi thé. Rose, Cécile, przyjdźcie po śniadaniu na lekcję do mojego pokoju...

Wyszła, prowadzona ostrożnie z jednej strony przez gospodynię, a z drugiej przez Anielę. Pani Melania spojrzała na parszywą owcę:

– Patrz, coś narobiła – mruknęła bez gniewu.

– Proszę babci, przecież ja nic nie powiedziałam.

Chodziło o zdarzenie z poprzedniego dnia. Pan Wyganowski z Warszówki, jeden z opiekunów Siaszyc, przyjechał na inspekcję gospodarstwa, po czym zabawił godzinkę z pannami, patrząc, jak panny leją wosk na wodę. Po wróżbach mówiono o nieobecny Wojciechu, o nowych aresztowaniach i zsyłkach, o ciężkim położeniu ziemian. Pani Aniela wyraziła przekonanie, że zmarli szczęśliwsi są dziś niż żywi.

– Ja też myślę, że świętej pamięci pan Tytus szczęśliwszy jest tam niż tu – westchnęła Apolonia, upuszczając tradycyjną łzę.

– Niewątpliwie, mościa dobrodziejko! – wykrzyknął z zapalem sąsiad. – On nawet nie wie, ile jest szczęśliwszy!

Niedoszła Tytusowa skłoniła głowę z uznaniem. Lecz w tej chwili zaszła rzecz gorsza: Zofia, siedząca pomiędzy Różą a Cesią na brzegu kanapy, wydała nagle dziwny kwik, ni to skowyt, ni to zduszone parsknięcie, bluznęła w chusteczkę śmiechem i wypadła z pokoju. Jagulek nie wytrzymał i pognał za nią, ujadając przeraźliwie. W saloniku zapanowała konsternacja, po wyjeździe Wyganowskiego zamieniona w indagację.

– Kochanko, co się stało Sophie?

– Cécile, ile razy trzeba mówić, że ten pies...

– Proszę mamci, przecież Jagulek nic a nic nie winien.

– Więc dlaczego wybiegła? On ją pewnie ugryzł?

– Nie ugryzł, proszę babci. Nie wiemy, co się jej stało.

– Przecież siedziałyście obok!

Panna Koszutska nie dopytywała. Na licach miała wypieki. Suchym głosem oznajmiła, że Sophie za nieprzyzwoite zachowanie pozostanie w swoim pokoju i nie dostanie kolacji. „Frau Schneider, proszę jej nic nie zanosić”.

– Nichts to nichts – przystała gospodyni i ledwo wszyscy zasiedli do stołu, pobiegła do ulubienicy z tacą pełną ciastek.

– Co ty zrobił, moje Zosze?

– Sznajduniu, złotko najlepsze, nie mogłam wytrzymać. On powiedział, że...

Dokończyła w ucho gospodyni, obejmując ją za szyję. Sznajdzia podrygiwała ze śmiechem. Po jej wyjściu Zofia wepchnęła ciastka pod kołdrę. Niebawem nadeszły siostry.

– Czegoś się śmiała, wariatko? – pytała Cesia. – Z twojej winy wszyscy na biednego Jagulka. Babcia myślała, że on ciebie ugryzł.

– Naprawdę nie wiecie, z czego?

– Nie... Czy bardzo jesteś głodna?

Bez słowa pokutnica odgarnęła kołdrę. Wydały okrzyk zachwyty.

Panna Koszutska źle spała tej nocy. Targał ją gniew i przykre uczucie porażki. Nie po raz pierwszy stwierdzała sama przed sobą, że jej metody wychowawcze, działające znakomicie w wypadku Rozalki lub Cesi, w odniesieniu do Zofii zawiodły. Jakich środków użyć, by osiągnąć nad tą dziewczyną przewagę? Przewracała się z boku na bok, snując obrazy kar, z których każda po namyśle okazywała się bezowocna lub niewykonalna. Ranek i chińskie ziółka nie przyniosły również wskazówki. W braku lepszego rozwiązania Apolonia postanowiła na razie użyć pogardy. Nie zwracać się do winowajczyni, nie widzieć jej... Może się zawstydzi i ukorzy.

Tak więc Rozalka z Cesią odrabiałały pracowicie lekcje, a Zofia, bynajmniej nie zakłopotana wolnością, pomknęła na dziedziniec folwarczny. Gdy otwierała furtkę ogrodową,

w bramę naprzeciwko wjeżdżał wózek nietutejszy, zaprzężony w dwie nędzne szkapiny. Dziwaczny zaprzęg, dziwacznie odziany woźnica, przy woźnicy oberwany, brodaty dziad. Tuż za bramą zatrzymał wózek, zsiadł ciężko i siedł przez podwórze, kierując się nie do oficyny, nie do bramy ogrodowej, lecz w bok do furtki, kędy stała Zofia. Patrzyła nań z rosnącym zdziwieniem i niepokojem. Kto to był? Żaden ze znanych kupców, zgronników, dostawców. Ktoś zupełnie nieznan. Nie wiadomo, do jakiej sfery przynależny, nie wiadomo – cudzy czy swój. Czego chce? Co go przyniosło? Oderwawszy spojrzenie od idącego przybysza dziewczyna zauważyła, że nie ona jedna patrzy zdziwiona. Rataje, stróż, karbowy, gorzelany, pastuch – stali, gdzie któremu wypadło, równie jak ona nieruchomi, wpatrzeni w nieznanego. Takim wzrokiem pewno spoglądają żywi na marę wstającą z grobu. Psy ujadają tarmosząc łańcuchy. Obdarty brodac podszedł do dziewczyny. Otwierał usta i zamykał bezgłośnie, jak gdyby nie mógł głosu wydobyć.

– To pewnie Zosia? – szepnął w końcu wahająco.

Skinęła głową, urażona, że poufale wymawia jej imię. Chciała cofnąć się za furtkę, lecz on stanął w przejściu. Jak gdyby z nagłą decyzją, schryplym głosem spytał:

– Gdzie twój ojciec?

– Tatuś jest na Syberii.

– Dawno?

– O, dawno...

– Pamiętasz go?

– Nie bardzo – przyznała.

– To skąd wiesz?!

– Mamcia nam wciąż o tatusiu mówi...

Stęknął czy jęknął. Zofia złękła się, że wariat. On wybuchnął:

– To ja jestem tatuś! Wróciłem do was! Wróciłem!

Nie rozumiała, patrząc na obcego rozszerzonymi oczami. W ujadanie podwórzowych psów wdarło się nagle skomlenie tak przeraźliwe, że dziewczyna spojrzała w tę stronę.

Sułtan, stary Sułtan, wyleciał jak szalony z obory, skomli, pędzi, potyka się sztywnymi nogami na grudzie... Dopadł oberwańca. Czyżby się wściekł? Trzeba go odegnąć. Pies skacze na pierś brodacza, wacha go, liże, sapie z wysiłku i emocji, piszczy, łasi się...

– Sułtan – szepcze obcy i twarz jego staje się podobna do twarzy Jadwisi, gdy płacze.

– Tatko! – krzyknęła Zofia, pojawiwszy nareszcie, i puściła się pędem ku dworowi. Brodaty włóczęga w łapciach szedł za nią, trzymając dłoń na łbie witającego psa. Niemi świadkowie tej sceny zrozumieli również.

– Rany Boskie! To nasz dziedzic!

Z ekonomówki wyjrzał Odkiewicz w narzuconej naprędcie bekieszce.

– Na co się gapicie? – huknął. – Co się stało?

– Pan wrócił! – odpowiedziano chóralnie. – Nasz dziedzic wrócił! Hań idzie do dworu...

Ekonom spojrzał nieufnie w kierunku oddalającego się przybysza.

– Ten? Kto powiedział, że to pan?

– Pies poznał.

– Panienska Zosia stojąca tutaj, nie poznała. Pies poznał.

Pies poznał... To brzmiało przekonująco. Ludzie gardzą zwierzętami, ale świadectwo zwierzęcia jest wiarygodniejsze niż świadectwo ludzkie. Zwierzę nigdy nie skłamie i zwierzę się nie omyli. Ten dziad obdarty to jest sprawiedliwie dziedzic.

Ruszyli ławą przed ganek.

Zofia wyprzedziła znacznie przybyłego, gdyż on idąc zataczał się jak pijany. Patrzył wkoło, patrzył, patrzył... Nie wierzył. Nie wierzył, by rzeczywistość była jawą, a nie snem. Tymczasem córka wpadła jak wichler do domu.

– Mamciu! Babciu! Tatuś wrócił! Sznajdziu! Tatuś wrócił! Józefie, tatuś wrócił!... – Do pokoju Apolonii z beceremonialnym krzykiem: – Róziu! Cesium! Tatuś wrócił!

Panno Apolonio! Tatuś wrócił! Mademoiselle! Tatuś wrócił!
Jadwisiu! Józiu! Tatuś wrócił! Tatuś!

Zdyszana zbiegła do sieni. Tam już pani Aniela mdlała i szlochała w objęciach brodacza. Pani Melania wołała o krople dla niej i dla siebie. Sześć córek obstąpiło wokół rodziców, krzycząc, podskakując, gadając bezładnie. Zofia powtarzała z dumą: „Ja pierwsza zobaczyłam! Co za szczęście, że wczoraj zachowałam się nieprzyzwoicie!” Sułtan nie dawał sobie odebrać pierwszeństwa i pchał się do pana. Jagulek ujadł jak opętany. Sznajdzia wykrzykiwała płacząc: „Herr Je! Herr Je!” Ona pierwsza oprzytomniała i pociągnęła wszystkich do jadalni. „Ciepłej niż w sieni, a pan Wojciech musi być głodna”.

– Czy znalazłoby się coś do przebrania? – spytał nieśmiało zesłaniec, spoglądając ze wstrętem na swoje brudne i śmierdzące łachy.

– Wosiu! Wszystkie twoje rzeczy wiszą, jak zawsze, w myśliwskim pokoju... w szafie... Chodź!

– Tylko surdut, ten czarny, to mole nadgryźli, choć strzeżli – wybałał Józef ze skruchą.

– ...w pokoju myśliwskim, w szafie... – powtórzył przybyły z tamtego świata, jak gdyby nie rozumiejąc znaczenia tych słów. Wrażenie snu stało się jeszcze silniejsze. Pięcioletnia katorga, przeszło dwuletnia wędrówka w takim utrudzeniu i nędzy, że nikt, co sam podobnej nie przeżył, nie pojmie. Zimno, głód, poniewierka... Boże, pozwól dalej śnić... Oto jest u siebie... w domu. Jesionowe biurko z galerijkami... na ścianach broń. Łeb jelenia, na rogach wiszą przyrządy łowieckie. Wszystko, jak zostawił odchodząc. Józef leje wodę na miskę, wyjmuje z szuflady bieliznę. Płacze... Drogi, wierny stary... Płaczą obaj, pan i sługa. Doczekałem się, Józefie. Łaska Boża. Żona... dzieci... dom... Wieleż chodzi gadek o wygnańcach, co powróciwszy, zastali puste pole, gdzie był dwór... Albo dwór ostał, lecz wygnańca nie poznano. Tak się zdarzyło przecież z Makowieckim na Podolu. Rodzina wygnała go precz jako oszusta, aż płaczą-

cego na przykopie poznał stary gracjalista, mieszkający w czworakach. Albo żona żyjąca z kim innym, dzieci kryjące się po kątach, zaniedbane... Takie obrazy snuły się w myślach wygnańców, gdy żywi czuli się, jakby umarli. Takie obrazy trwożyły wędrowca w czasie ostatniej pielgrzymki ku swoim. Nigdy nie śmiał oczekiwać, by dom ze wszystkim błogosławieństwem, jakie Bóg weń włożył, czekał na jego powrót nie zmieniony...

Józef wycofał się cicho, położywszy na krześle ubranie. Wojciech Gałczyński ukląkł przy łóżku, dawnym swoim łóżku, i dziękował Bogu łzami. Weszła żona, niespokojna, że tak długo się przebiera, a przecie musi być głodny. Uklękła przy nim. Zrzuciła już wdowi czepek i upięła stroik ten sam, który nosiła, gdy Wojciecha skutego w kajdany żandarmi wywozili przed laty.

– Wiele lat czekałabyś tak na mnie? – zapytał, tuląc ją do siebie.

– Do śmierci – odpowiedziała zdziwiona, że o to pyta. Ujął jej drobną twarz w swe wielkie, stwardniałe dłonie i obrócił ku światłu. Przez minione osiem lat postarzała o dwadzieścia. Ucałował zmarszczki na skroniach z miłością i czcią.

Panna Koszutska, od dworaków opuszczona, zmieniała plasterki cytryny na skroniach, walcząc z rosnącą migreną i uczuciem goryczy. Nikt się o chorą nie troszczył. Wszyscy, nawet Rozalka, latali jak opętani i krzyczeli bez związku. Prawda, że zdarzenie niepowседневne. Ojciec wrócił. Wojciech Gałczyński wrócił. Legalnie czy jako zbieg? Chyba legalnie, bo nie czyniono by tyle rumoru. Wrócił... No, no... Będą zmiany w życiu domu. Jakie?

Panna Apolonia przywykła posiadać w braku nieobecnego gospodarza należne mu autorytet i władzę. Autorytet, władza, to atrybuty, z których nikt chętnie nie rezygnuje. Nie dziw, że w przyszłość spoglądała z aprehensją i wdzięcz-

nie powitała panią Melanię, gdy ta przyszła pytać nauczycielkę o zdrowie.

– ...Woś nie puszcza Anieli i dziewczynek na krok od siebie – mówiła, siadając przy łóżku. – Boże, co się z tego człowieka zrobiło! Nie znałaś go, prawda, kochanko? Był bardzo przystojny. Un bel homme, a elegancki... Teraz przerazić się można. Imaginację przechodzi. Muzyk, prosty muzyk. Klimek już pojechał po golibrodę Srula. Jak mu brodę zetnie, może podobieństwo do dawnego odnajdziem. A może nie... Nieborak zapomniał manier, no, co dziwnego, odwykł od swej sfery. Biedna Aniela nie spostrzega tej odmiany. To lepiej. Ot, siurpryza... A korciło mnie od rana, żeby kabałę stawiać. Byłybyśmy wcześniej wiedziały. Kabała zawsze powie bez chybnienia. Już w piątek ustawicznie as kierowy przy asie pikowym wypadał. Tak, tak... Co się z tego człowieka zrobiło! Zejdiesz, kochanko, na obiad?

– Spróbuje.

Nim jeszcze obiad podano, Józef nieco drżącym głosem zameldował, że strażnicy przyszli do pana dziedzica.

– Boże wielki! – jęknęła Aniela.

Ale zesłaniec nie przejawiał niepokoju.

– Już się ta swołocz zwiedziała? To prędko. Anielko, daj im parę rubli, niech Józef zaniesie i powie, że jutro sam będę u prystawa. Nie blednijże, duszko: wróciłem legalnie. Patrz, jaką dostałem bumagę. „Zwioniony na podstawie amnestii...”. Nie słyszeliście, że była amnestia?

– Mówiono o niej i ciągle cię wyglądałam, ale to było półtrzecia roku temu...

– Właśnie wtedy zwolniono mnie i wielu innych. Od tego czasu wędrowałam ku wam.

– Wędrowałeś! Tyle czasu? Jak?! Końmi? Podwodą czy pocztą?

– Ej, duszko! Piechotą szedłem o żebrany chlebie. Latem lekko, zimą ciężko, okrutnie ciężko. Z początku szło

nas kilku, pod koniec ja sam. Tamci odpadli po drodze. A w ogóle ze zwolnionych niewielu ruszyło w drogę...

– Jak to?! Nieśpieszno im było?

– Bogać tam nieśpieszno... Powiedzieli nam jednego dnia: „Wot i amnestia dla was, miatieźniki... Ubirajcieś k'czortu”. Jak wola: kto nie chce, może pozostać i tu pracować za wikt. Nie wyganiamy nikogo. Ani podwoły, ani pieniądze na drogę nie dawali, a wokoło pustynia. Sto wiorst do najbliższej osady. Wielu naszych, szczególnie słabszych czy starszych, bało się tej drogi. Prośby pisali, podania, żeby im podwoły przydzielono, i postanowili czekać na odpowiedź. Bo nam, szlachcie, należały się z prawa kubitki. Więc że muszą dać... Pewnie nic z tego nie wyszło. Było nas kilku rezolutów, co na drugi dzień po ogłoszeniu amnestii wyszliśmy, myśląc: przyjdzie zginać, to zginiemy, ale dobrowolnie tutaj ni chwili nie zostawajmy... Tak szliśmy. Strasznie było. Wiele razy jużem w myślach was i życie żegnał, bo śmierć była tuż. Najgorzej, gdym został sam...

Zamilkł spojrzawszy wstecz na przebytą drogę. W pamięci stanął żywo jeden moment, kiedy konający z głodu, bez sił, by wlec się dalej, choć w powietrzu czuć było dym zwiastujący bliskość ludzi, ujrzał na ścieżce przed sobą zdechłego szczura czy chomika, czy inne syberyjskie zwierzątko do szczura podobne. Musiało zginać niedawno, bo mróz nie zdążył jeszcze zamienić go w drewno. Grabiejącymi dłońmi obdarł ścierwo ze skóry i zjadł, schrupał, pożarł... Z odrazą? Cóż znowu! Żałował, że było tak małe. Ten nikły pokarm nieco go pokrzepił i pozwolił dotrzeć do osady.

Chciał o tym wspomnieć, lecz wstrzymała go obawa, że Anieli nie zrozumie, natomiast odczuje wstręt. Jej mąż jadł zdechłego szczura! Ona brzydziła się szczurów i myszy. Jakże by mogła pojąć, jak mógłby pojąć którykolwiek inny mieszkaniec tego domu? Tu nikt nigdy nie był głodny.

– Mów dalej – prosiła żona.

– Przeszliśmy Ural, stało mi się lżej, bo wiosna była i chrześcijan napotykałem, choć rzadko... Tamte Azjaty ni

dobrze, ni zło, nieludzkie jakieś, aż dziw. „Żyjesz, to żyj – umierasz, to umieraj, nic nam do ciebie...”. A tu byli chrześcijanie. Dobry, bardzo dobry jest naród rosyjski. Biedny, a z biedniejszym się podzieli. Nie pytali: „Kto ty taki? Polityczny, co uciekł z katorgi, czy zbój?” Starczy, że głodny. Pożywili, chleba w sakwę dali. Idź z Bogiem, człowieku. Nigdy bym nie doszedł, żeby nie ludzkość ubogich. Bom tylko do biedaków zachodził. Choć z bumagą, omijałem czynowników jak zarazę, dwory pomieszczyckie też... Ostatniej zimy odmroziłem nogi, aż ropa się łała, tom dwie niedziele przeleżał w mużyckiej chacie na piecu pobok starego dieduszki. Gospodyni na piec podawała nam jedzenie. Ja ani stąpnąć nie mogłem, a dieduszka od lat niemocny... Rad bym się im odwdzieczył, ale trafić z powrotem nie trafię, bom szedł na przełaj, omijając gościńce, i nawet nie wiem, przez jakie strony przyszło iść. Aby na zachód, aby przed siebie. Nieraz nadłożyłem drogi, nieraz błdziłem, a com był bliżej, tym mi było śpieszniej i tym okrutniej się bałem...

– Czegożeś się bał, bumagę mając?

– Tegom się bał, co tutaj zastanę, Anielko. Osiem lat bez wiadomości... W Międzyrzeczu spotkałem Jojnę, co był faktorem u starego Tymienieckiego. Pytam go, czy mnie poznaje, bom go nieraz u Tymienieckich widywał. Poznać nie poznał, ale od razu uwierzył, że ja. Pieniądzy pożyczył, które Lejbie oddam, bo oni konszachty mają. Za żydowskie pieniądze najałem podwodę i już z paradą jechałem...

Jedli w milczeniu, bo natłok myśli i wrażeń nie dawał ująć się w słowa. Nawet Anielka nie wybuchwała śmiechem po swojemu. Wszystkie sześć patrzyły na brodatego ojca, tak odmiennego od panów, jakich widywały. On patrzył na nie również z radością i niepokojem. Znajdzieli drogę do serc i myśli tych starannie wychowanych panienek, które wyrosły bez niego? Nie pozostanież obcym, dziwnym wtrętem? Na ścianie nad siedzącymi bieleły spłowiałe twarze rodzinnych portretów, dziadów i babek. Wojciech pomyślał z otucha, że te poznają w przybyszu swoją krew.

Między portretami (co niejednokrotnie gorszyło sąsiadów) wisiał obraz przedstawiający sławnego Solimana I, ogiera sprowadzonego z Turcji przez starego Gałczyńskiego. Wprawdzie Solimana, który za życia był ogniem i lotem, przedstawiono na obrazie jako opasa z małym baranym łbem, ciężkim kadłubem, podającego obie przednie nogi ruchem psa, który służy – niemniej wizerunek był cenną pamiątką. Wojciech spojrział nań i wstrzymał pytanie dotyczące koni. Jego stada, jego ukochanych koni... Wstydził się pytać, by nie pomyślano, że jeszcze mało mu tego, co zastał. Jest żona, są dzieci, jest dom... Niedobrze żądać zbyt wiele.

Lecz pani Aniela spostrzegła wzrok męża spoczywający na Solimanie i radośnie zawołała:

– Wosiu, a wiesz, że twoje stado zostało?! Wyganowscy i Niemojowski rozebrali je po swoich folwarkach na przechowanie. Odkiewicz posyłał owies... Nie wszystkie są. Parę matek padło na kolkę czy z ochwatu, jeden źrebak nogę złamał, trochę młodzieży sprzedali, żeby opędzić koszt. Ale Soliman III jest, i Perkun jest, z matek, co pamiętasz, Hesperyda, Kordula, Zulejka, Branka... Trzy młode: Fatima po Zulejce, Turkawka od Korduli, Śnieżka – nie pamiętam, od której... A, już wiem! Od Alby. Przypędzą ci to wszystko, niech się tylko zwiedzą. Wosiu, mężu mój, co tobie? Słabyś?

– Cicho, Anielko, cicho... Boję się, widzisz, bom jest zanadto szczęśliwy...